

Jan Sikorski

część V z VI

Sygnatura notacji: **N0061**

Data urodzenia: **12.11.1935 r.**

Data nagrania: **28.08.2007 r.**

Miejsce nagrania: **Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Bogdan Krawczyk**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 62 min, część III: 55 min,
część IV: 56 min, część V: 60 min, część VI: 22 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ksiądz Jan Sikorski: Z jednej szkoły takiej pedagogicznej, potem z liceum kolejno zastanawiałem się, czy młodzież przyjdzie na religię do parafii. Gdzieś w starych pomieszczeniach urządziliśmy takie pseudosale i czekałem na tę młodzież. Zaprosiłem ich, starałem się, żeby te lekcje były bardzo atrakcyjne. I na szczęście ta młodzież zaczęła przychodzić. I przychodziła dosyć gromadnie na te lekcje religii, choć już nie były one w szkole, ale znali mnie już wszyscy ze szkoły, już się troszkę z nimi zaprzyjaźniłem. W związku z tym znowu była akcja partyjna dość poważna, że trzeba coś zrobić, żeby ten wpływ tutaj młodego księdza jakoś ukrócić. Więc wprowadzono wtedy na stanowisko wicedyrektora bardzo takiego rzutkiego nauczyciela, który na lekcjach głównie zajmował się tym, że nie znając mnie, zwalczał mnie i starał się jakoś obniżyć mój autorytet. Oczywiście to uczniowie mi wszystko powtarzali potem na lekcjach. Więc stworzyła się sytuacja takiego pewnego ping-ponga swego rodzaju, co nabrało też takiej atrakcyjności. Wreszcie sprowadzili jakiegoś specjalistę, to było województwo łódzkie, więc z łodzi zebrali młodzież w takiej sali sejmikowej w Skierniewicach. I on indoktrynował w sposób socjalistyczny, w sposób materialistyczny tę młodzież. Tymczasem ci ludzie młodzi, dosyć odważni, zaczęli mu zadawać pytania. Pytania były tak kłopotliwe, że dyrektor przerwał to spotkanie i powiedział, że pan prelegent musi wracać już do łodzi, bo pociąg odjeżdża. I spotkanie się zakończyło, a po prostu go tam wyklaskali, wytupali, wygwizdali. Oczywiście to spotkanie, które miało pogrześć tutaj katechezę, skończyło się w ten sposób, że tak jak przedtem frekwencja sięgała kilkudziesięciu procent, tak po tym spotkaniu niektóre klasy miały 100% frekwencji, bo wszyscy byli ciekawi, co to za ksiądz, z którym takie wojny się tutaj urządza. A więc były i tego rodzaju akcenty. Zaczęła się ta moja praca zresztą od też bardzo ciekawego spotkania skierniewiczian z Księdzem Prymasem, który jadąc na konklawe, przejeżdżał przez Skierniewice. Wtedy kolejarze na własną rękę pociąg zatrzymali, poprosili o błogosławieństwo Księdza Prymasa, właściwie nie na konklawe, tylko

jechał po kapelusz kardynalski, przepraszam, po swoim zwolnieniu. To była pierwsza wizyta w Rzymie, pierwsza wizyta w Rzymie po jego zwolnieniu i chyba on, tak, bo już był mianowany kardynałem, miał otrzymać kapelusz kardynalski. Bardzo taka znacząca to była wizyta. Jakoś bardzo się nią interesował cały świat wtedy. I kolejarze ze Skierniewic zatrzymali pociąg, poprosili o błogosławieństwo i zaprosili na poświęcenie swojego sztandaru. To też było coś zupełnie nowego w tym naszym socjalistycznym kraju, żeby biskup poświęcił sztandar kolejarzy, bądź co bądź funkcjonariuszy jakoś tam państwowych, pracowników państwowych. I Ksiądz Prymas rzeczywiście słowa dotrzymał mimo tych swoich zajęć. Wtedy przybył do Skierniewic. I miałem tę radość spotkania się z nim już po raz kolejny, ale już na tym stanowisku moim wikariuszowskim. – Zdjęcie się chyba zachowało księdza w albumie. Widziałem. Pod ścianą. Już nie wiem, czy to na dworcu.

Bogdan Krawczyk: To był pięćdziesiąty który rok? 1957?

Ksiądz Jan Sikorski: 1957, jeszcze przed moimi święceniami, tak, tak, a tuż po moim przyjściu. Tak, to mógł być. Ja przyszedłem, wrzesień, wrzesień, październik, październik może 1957 rok, tak. –

Bogdan Krawczyk: Z dzisiejszej perspektywy jakbyśmy poszukali jakiegoś słowa, które tak najbardziej charakteryzuje ten okres siedmioletni w Skierniewicach, czym były Skierniewice w życiu młodego księdza Sikorskiego?

Ksiądz Jan Sikorski: To taka była, mówię, pierwsza moja miłość duszpasterska i taki pewien szlif kapłański. Ja zupełnie nie wiedziałem, jak się ma zachować ksiądz w tej nowej sytuacji, prawda, i społecznej w kraju. I nie wiedziałem, jak ja się, jak ksiądz to mniej więcej wiedziałem, tylko jak ja się odnajdę jako ksiądz. I muszę powiedzieć, że odnalazłem się bardzo tak szczęśliwie, w pełni się, że tak powiem, realizowałem. I bardzo wszedłem z takim zapałem w tę pracę duszpasterską. I to przywiązanie do duszpasterstwa jakoś pozostało u mnie. Początkowo byłem tam skierowany na jakieś studia specjalistyczne na KUL, więc myślałem, że trochę może się będę zajmował nauką. Ale kiedy już dotknąłem tej pracy, to wiedziałem, że właściwie takim moim głównym przeznaczeniem to będzie praca duszpasterska, to będzie parafia, to będzie praca z ludźmi, która jakoś najbardziej mi odpowiadała. – Czyli pastorales wpisane w życiorys. – Tak, duszpasterstwo wpisane w życiorys. I chyba jakiś taki ten nerw we mnie już pozostał do dzisiaj. Nawet kiedy się znalazłem w Kijowie teraz ostatnio, to też trudno mi sobie wyobrazić pracę tylko w seminarium wśród kleryków. Na szczęście biskup również przeznaczył mnie do pracy duszpasterskiej wśród Polonii. I tam chociaż byłem jeden jedyny rok, ale wydaje mi się, że obie strony zachowały dobre wspomnienia z tego właśnie czasu mojej takiej duszpasterskiej posługi. Najlepiej się właśnie czuję w niej.

Bogdan Krawczyk: Trudno było się rozstać ze Skierniewicami?

Ksiądz Jan Sikorski: Wydawało mi się, że to cała epoka, bo ja tam byłem 7 lat. Dla młodego człowieka to jest bardzo długi okres. I ogromnie się tam przywiązałem do tych Skierniewic. W każdym razie wyjechałem tam zupełnie jak gdyby niepostrzeżenie.

Bogdan Krawczyk: A kiedy?

Ksiądz Jan Sikorski: Kiedy dostałem przeniesienie do Warszawy, do parafii św. Michała na Mokotowie, był to rok 1964. Po cichutku wsiadłem w taką małą nyskę. Poprosiłem jakiegoś ministranta, żeby pomógł mi tam zabrać moje książki. I sobie tak pojechałem. Nawet na stacji benzynowej pytali: „A gdzie ksiądz jedzie?”, a tak mówię: „W kierunku Warszawy”. Nawet się nie przyznałem, żeby nie było tych trudności i przykrości z rozstaniem się z tym takim już przeze mnie bardzo ukochanym wtedy miastem.

Bogdan Krawczyk: A przyjęcie na Mokotowie?

Ksiądz Jan Sikorski: I zupełnie nowa era się rozpoczęła. W parafii byłem bardzo znaczącej, bo proboszczem jej był ksiądz prałat Stefan Piotrowski, który był wikariuszem generalnym, taką prawą ręką Księdza Prymasa. I on właściwie odpowiadał za sprawy personalne. W tej parafii już byli księża, których ja znałem. Był między innymi ksiądz Jerzy Chowańczyk, z którym wędrowałem do Komańczy, więc zaprzyjaźniony, i od tej strony byłem bardzo zadowolony, że znajduję się znowu w gronie ludzi mi znanych, bliskich, co w naszej pracy, która ma mieć taki atut wspólnotowy, jest bardzo ważne.

Bogdan Krawczyk: Czyli swój między swymi?

Ksiądz Jan Sikorski: Troszkę tak, swój między swymi, tak. Trudno mi było w pierwszej chwili pozbierać się tam z katechezą, bo w Warszawie to uczniowie sobie jakoś dobierali księży, których już znają, i chodzili na religię do tych, którzy już są im znani i bliscy. Ja musiałem jakieś grupy pozbierać, które tam będą, które sam niejako sobie stworzę, i to była pewna taka trudność, ale tak troszkę dowcipnie zacząłem tam uczniom mówić: „Jak będziecie przychodzić, dostaniecie jakieś punkty”, które oczywiście nic nie oznaczały, a jak ktoś kogoś przyprowadzi, to zbierze tyle punktów, a to tyle punktów. I skutek był taki, że zaraz na początku zaczynałem mieć kłopoty, bo uczniowie sprowadzili na religię swoich kolegów, którzy byli dziećmi jakichś pułkowników z kontrwywiadu. I kiedy pytam o jednego: „A gdzie on jest? Dlaczego dzisiaj nie ma?”. „A, bo leży w szpitalu”. „A co się stało?”. „Ojciec go pobił”. „Jak to ojciec pobił?”. „No bo jak się dowiedział, że był razem na religii z drugim kolegą, który też był z tej samej branży, synem pułkownika, to tak się zdenerwował, że nawet go pobił”. Więc orientowałem się, że tu trzeba być troszkę ostrożniejszym w tym zapale duszpasterskim, bo rzeczywiście można komuś zrobić niechcący krzywdę. Taka śmieszna historia. Któryś chłopak przyszedł do mnie, Grek w dodatku, taki ciemny, czarny, żeby mnie odwiedzić, razem z kolegą przyszli, chyba we trzech. Siedzą, rozmawiają, ja widzę, że jakieś tematy specjalnie takie obojętne poruszamy. Wizyta się przedłuża, a już nie mam czasu, więc tak zmierzamy do wyjścia. A ten chłopak pyta: „A co z tymi biletami do cyrku?”. Ja mówię: „Jakimi biletami do cyrku?”. I dopiero się wydało, że oni, chcąc zyskać te punkty, przyprowadzili swojego kolegę, twierdząc, że ja rozdaję bilety do cyrku. Ten Grek, który w ogóle nie był ochrzczony, nagle się u mnie pojawił. Ale potem zaczął chodzić na religię. Nawet jakiś czas chodził i kiedyś nawet już mnie złapał na drodze jako milicjant za przekroczenie szybkości. Byłem zdziwiony, że salutuje i zwraca się do mnie po nazwisku. To są takie anegdotyczne sprawy. Natomiast praca tam obejmowała głównie zajęcia duszpasterskie jak w parafii, ale przede wszystkim zajęliśmy się młodzieżą. I był taki dolny kościół, gdzie żeśmy sobie z księżmi, z którymi razem bardzo współpracowaliśmy,

jakoś stwierdziliśmy, że trzeba tą młodzieżą się troszkę zająć tak lepiej. I stworzyliśmy taką Mszę świętą dla młodzieży, 9.30. I tej młodzieży tam niewiele przychodziło, ale angażowaliśmy ich poprzez swoich już zaprzyjaźnionych młodych ludzi, z którymi jeździliśmy na wakacje, urządzaliśmy wycieczki takie różne, spływy kajakowe, wycieczki rowerowe. – To przypomina księdza z Krakowa. – To trochę było tak, to było tak właściwie dokładnie w tym stylu. Tak. Potem niektórych z nich na jakąś taką oazową grupę wiozłem. I powoli tworzyła się taka elita tej właśnie młodzieży, która stwarzała klimat tej Mszy świętej. To były czasy reformy liturgicznej, więc żeśmy wprowadzali udział świeckich żywy taki, może szybciej niż w innych parafiach, i to sprawiało takie pewne zainteresowanie tych ludzi młodych. Potem oni sami powiedzieli: „A, proszę, księdza, tu nie ma organów, a może byśmy pograli na gitarach elektrycznych?”. Ja mówię: „Co to jest w ogóle?”. To mi przynieśli do domu, włączyli radio i zaczęli tam te druty szarpać. To wyglądało nawet nieźle. I mówię: „Słuchajcie, to możemy to radio znieść do kościoła i tam spróbujcie zagrać”. To oni się bardzo zapalili. W ten sposób powstał taki zespół bigbitowy.

Bogdan Krawczyk: Z księdza radiem jako kolumną?

Ksiądz Jan Sikorski: Z moim radiem jako kolumną, tak, z jakąś tam jeszcze potem perkusją i różnymi rodzajami gitar, bo to potem zaczęło się rozrastać. I to był chyba jeden z pierwszych w Polsce, mnie się wydawało, że pierwszy, bo o niczym takim nigdy nie słyszałem. Potem się okazało, że równolegle w Podkowie Leśnej ksiądz Kantorski to już to w poważny sposób zrobił z zespołem Czerwono-Czarnych. To się jakoś bardzo potem nagłośniło i stało się bardzo żywe i takie modelowe. Niemniej w parafii u nas u św. Michała to funkcjonowało i ten kościół tak od kilkunastu osób wypełniał się, też było kilkaset ludzi młodych, a nawet i starsi lubili przychodzić na tę Mszę świętą, z tym że mnie to cieszyło, że to nie tylko była sprawa atrakcji i że jest bigbit na Mszy świętej, bo oni sobie mogli tego słuchać wszędzie, tylko klimat tej Mszy świętej w dolnym kościele był właśnie taki, że on jakoś przyciągał. Myśmy starali się taki język nawiązać z tymi młodymi ludźmi, mówić do nich współczesnym językiem i taki kontakt przyjacielski, bezpośredni. I znowu właśnie zaczęła się era tej współpracy z młodzieżą, bardzo serdeczna, bardzo przyjacielska. –

Bogdan Krawczyk: Rodziciele nie atakowali? Czerwony Smok z Mokotowa nie dał znać o sobie, nie było pobić już?

Ksiądz Jan Sikorski: Było względnie spokojnie, dlatego że... Przypuszczam, że w Warszawie to się rozpuszczało wszystko do tego stopnia, że jakiegoś spotkałem młodego człowieka, który mówi, że on jeździ na Msze święte, to na kolędzie było, do Pragi czeskiej, bo tam właśnie jest muzyka nowoczesna. Ja mówię: „Słuchaj, ty masz 20 metrów do kościoła tutaj, gdzie jest to”. „Tak?” Był zdziwiony. Więc to w tym czasie nie było żadnych informacji, żadnych mediów, żadnej prasy katolickiej, także dla mnie to było też zaskoczenie, czymś, co ja żyłem kilka lat, a ten chłopak, który, mówię, 20 metrów od kościoła mieszka, w ogóle nie wiedział, że coś takiego w kościele istnieje. – Kleryk Sikorski marzył o katakumbach. – I nagle tutaj coś takiego się stało. Potem to gros tej młodzieży przychodziło z liceum Rejtana. Więc troszeczkę potem ta sprawa stała się bardziej głośniejsza. Rodzice się oczywiście interesowali, bardzo się cieszyli, że młodzież do Kościoła się garnie. I już potem jakichś poważniejszych kłopotów nie było.

Bogdan Krawczyk: Długi okres u Michała?

Ksiądz Jan Sikorski: U św. Michała byłem w sumie 15 lat, z tym że jeszcze z małą przerwą, bo jednak biskup życzył sobie, żebym swoje studia specjalistyczne tam kontynuował. Pojechałem do KUL-u, znaczy na KUL-u, żebym na KUL-u zakończył doktoratem te swoje studia. Więc tak troszkę będąc na KUL-u, na sobotę, niedzielę dojeżdżałem do parafii, bo trudno mi się było rozstać. I potem jakoś tam ten doktorat zrobiłem. –

Bogdan Krawczyk: Z jakiego tematu?

Ksiądz Jan Sikorski: Oczywiście z duszpasterskiego. Temat dotyczył kierowania parafią pod kątem modnego w tamtym czasie tak zwanego managementu, czyli zasad organizacji i zarządzania. Więc spróbowałem, to była taka pionierska praca. W czasie swoich badań trafiłem jeszcze na dwóch takich, a potem trzeci, ludzi na świecie którzy to robili, jeden Holender, jeden Anglik i jeden Hiszpan. Okazało się, że czterech nas takich było, którzy próbowali te rzeczy połączyć. – Czterech w Europie. – Czterech w Europie, tak. Przynajmniej z tych, do których ja dotarłem, bo jeszcze nie było komputerów, więc to dotarcie nie było takie proste, trzeba było to jakoś tam w bibliotece wydłubać.

Bogdan Krawczyk: Kontaktowaliście się jakoś między sobą?

Ksiądz Jan Sikorski: O tyle tylko, że sprowadziłem ich prace, ale one już były napisane wtedy, kiedy ja kończyłem swój doktorat. Więc je tylko tak uzupełniłem. I one mnie jakoś upewniły, że ten kierunek, który wybieram, nie jest zły. W dobrych zawodach pan startuje. – Taką miałem nadzieję. Ale może najbardziej mi się przydało nie na polu naukowym, bo tu jakoś do pisania specjalnie nie czułem wielkiego powołania. Więc poza jakimś drobnymi artykułami to jakoś tam pracą się nie odznaczyłem żadną. Natomiast pomogły mi te moje studia i to teoretyczne przygotowanie do wreszcie pokierowania własną parafią, którą otrzymałem najpóźniej ze wszystkich swoich kolegów, ale już po dość długim okresie, mianowicie kiedy przyjąłem stanowisko ojca duchownego w seminarium.

Bogdan Krawczyk: Kiedy to nastąpiło?

Ksiądz Jan Sikorski: I to nastąpiło w roku 1979, kiedy to właśnie ksiądz prymas Wyszyński tak jakoś zawziął się na mnie. I kilkakrotnie przez proboszcza proponował mi właśnie to stanowisko, bardzo poważne, ojca duchownego w seminarium.

Bogdan Krawczyk: Jak mam rozumieć to słowo „zawziął”, to znaczy, że to była ta łaska trudna?

Ksiądz Jan Sikorski: To jest łaska trudna. A zawziął się o tyle, że na pierwszą propozycję czy drugą oczywiście odpowiedziałem zdecydowanie, że nie, dlatego że jakoś tak nie czułem się w mojej wyobraźni dobrze na tym stanowisku. Po pierwsze, że trzeba było zostawić właśnie tę ukochaną parafię i zmienić zupełnie swój styl życia. To mi nie odpowiadało. Wreszcie Ksiądz Prymas zaprosił mnie do siebie na rozmowę. Tak ciepło, długo ze mną rozmawiał, że nie było wyjścia, tylko trzeba było powiedzieć „tak”. Ale było to piękne z jego strony, że nie wydał rozkazu, polecenia, tylko po prostu ze mną to konsultował, chociaż nie musiał. I bardzo prosił, żebym tę pracę poprowadził. To jest takie duchowe kształtowanie młodych ludzi, przygotowujących się do kapłaństwa. Wtedy kleryków było ponad trzystu.

To była ich chmara ogromna. Więc zajęcie się tym wszystkim solidnie wymagało mnóstwo pracy, tym bardziej że, ponieważ seminarium pękało w szwach, było na Krakowskim Przedmieściu, to trzeba było jeszcze przeplancować niektóre roczniki gdzie indziej. I tak diakonów wysłali tam do Magdalenki, do Tarchomina, w różne miejsca, tak że ja byłem troszkę takim „latającym ojcem”, bo musiałem odwiedzać tych kleryków w różnych miejscach. –

Bogdan Krawczyk: Na kogo można wtedy liczyć? Na czyją pomoc?

Ksiądz Jan Sikorski: Cały czas się liczy na pomoc takiej łaski Bożej. To przede wszystkim, bo to się wszystko dzieje tak jakoś w sposób...

Bogdan Krawczyk: A z Ziemian?

Ksiądz Jan Sikorski: To tyle trudne jest właśnie, że nie bardzo jest na kogo liczyć, bo ojciec duchowny ma swoją rolę taką specyficzną w seminarium, nawet jeżeli prowadzi wykłady, jakieś tam wykłady prowadziłem, to nie wchodzi nawet w sesję profesorską. Nie wolno mu jest, kontaktować się można, tylko rozmawiać na temat kleryków, czy może zostać w seminarium, czy nie, żeby nie podważać tego osobistego zaufania. To czasami jest tak, że rektor się cieszy, że ma takie wspaniałe powołanie, a ja jako ojciec duchowny wiem, że ono nie jest takie wspaniałe, i nie mogę słowa powiedzieć. – Więc... –

Bogdan Krawczyk: To jedyna trudność czy jeszcze?

Ksiądz Jan Sikorski: To podstawowa, powiedziałbym, trudność, gdzie człowiek jest zupełnie sam, nawet nie mogę się nikogo poradzić ani zapytać, ani skonsultować z nikim, bo to zawsze jak gdyby dotyka tajemnicy spowiedzi, i to jest trudność. Dla mnie osobiście to była ta trudność pewnej jednolitości tej pracy, w parafii duszpasterskiej byłem przyzwyczajony do takiego szerokiego spektrum różnych zajęć, takich bardzo nietypowych. A tutaj było to takie jednoznaczne. Trzeba było siedzieć w seminarium. Miałem dużo różnych kontaktów z ludźmi, ciągnęły mnie różne sprawy ludzkie, które...

Bogdan Krawczyk: Chodzi o jednostajność tych zajęć?

Ksiądz Jan Sikorski: O jednostajność tych zajęć, tak. A tu była taka jednostajność i taki pewien obowiązek rezydencji, a dosyć byłem taki ruchliwy, a tu trzeba było tę ruchliwość powściągnąć i pilnować się, i trzymać się tylko tego kochanego seminarium.